

Koszmar w Andach. Kanibalizm urugwajskich rugbistów.

Skonstruowanie maszyn latających pchnęło ludzkość ku wielkim osiągnięciom. Niestety samoloty stały się również dla niektórych trumną. Na przestrzeni ostatnich ponad stu lat wydarzyła się znaczna ilość katastrof lotniczych. Niektóre są co pewien czas przypominane w mediach, ale są również tragedie, które zostały zapomniane. Chciałbym właśnie przytoczyć jedną z takich historii, która może w małym stopniu przypominać los bohaterów serialu „Zagubieni”. Tylko, że zamiast uroczych, tropikalnych plaż, areną wydarzeń są Andy, góry w Ameryce Południowej, gdzie w 1972 r. rozbił się samolot przewożący na pokładzie urugwajskich rugbistów.

Klub rugbistów przy katolickiej szkole w Stella Maris Colege w Montevideo został założony w 1965 r. Nazwa brzmiała: Old Christians. Bardzo szybko zespół stał się najlepszy w Urugwaju, a także dołączył do najlepszych ekip kontynentu południowoamerykańskiego. Urugwajscy rugbiści często rozgrywali mecze poza granicami kraju, głównie w Argentynie. W 1971 r. przeprowili się nawet za Andy i w Chile odnosili kolejne sukcesy, które skłoniły klub do urządzenia w Chile ponownego tournée.

Niestety rok 1972 nie układał najlepiej się klubowi, który miał w swoim herbie koniczynkę. Przegrali mistrzostwo Urugwaju, mimo że byli zdecydowanym faworytem. Dlatego musieli walczyć z kierownictwem klubu o zgodę na zagraniczny wyjazd. Wiązało się to z problemami przede wszystkim natury finansowej. Postanowiono wynająć Fairchilda F-227, co kosztowało około 1600 dolarów. Szkopuł w tym, że koszty byłyby duże, gdyby leciała sama drużyna. Dlatego też zawodnicy zadbali by wszystkie miejsca w samolocie się zapełniły, i ścigali swoich znajomych i rodzinę. W sumie na pokład weszło 25 pięć osób, nie licząc oczywiście zawodników, trenera i członków załogi. 12 października samolot wystartował ze stołecznego lotniska Carrasco zabierając w podróż 40 osób. Dla części z nich była to ostatnia wycieczka w życiu...

Nastroje wśród podróżnych były wyśmienite. Słysząc żarty i śmiechy. Głównym tematem rozmów jest turnee na, które zdążają. Między sobą omawiają taktykę na Chilijczyków. Z tyłu samolotu zebrała się grupka fanów gier karcianych. W pewnym momencie z głośników słysząc głos stewarda, który przekazuje informację, że z powodu złych warunków atmosferycznych nad Andami muszą lądować w argentyńskiej Mendozie, małej miejscowości u podnóża gór. Postój trwał prawie dobę. Wszyscy byli

zniecierpliwieni...Chcieli już być na miejscu.

13 października po południu samolot startuje i wzbija się w niebo kierując się ku Andom. Po godzinie lotu, pilot przez mikrofon ostrzega, że za chwilę znajdą się w strefie złej pogody i maszyna może być szarpana przez silne wiatry. Nagle samolot wylatuje z chmur i wszyscy widzą jak nisko leci nad szczytami – powoduje to niepokój u pasażerów. Uzasadniony. Pilot usiłuje poderwać maszynę do góry. Samolot powoli zaczyna się wzbijać, ale wtedy z prawej strony rozlega się potężny huk. Skrzydło zaczepia o występ skalny i odpada od kadłuba. Chwilę później odpada drugie skrzydło, jednocześnie rozpruwając bok kadłuba niczym chirurgiczny skalpel. Sam kadłub już bez skrzydeł, odbija się na pochyłym urwisku i zjeżdża w dół z dużą prędkością, rozcinając pod sobą śnieg. Po kilkudziesięciu metrach dziób zagrzebuje się głęboko w śnieg i wrak nieruchomieje...Zapada kompletna cisza...

Katastrofę przeżyły 32 osoby. Większość miała poważne obrażenia, część pozostawała nieprzytomna. Spośród pięciu członków załogi zginęło czterech. Szybko zapadały ciemności, a temperatura poniżej zera robiła swoje, zwłaszcza, że większość rozbitków miał na sobie koszulki z krótkimi rękawami. Na nieszczęście radio pokładowe zostało rozbite i ludzie zostali zupełnie odcięci od świata.

Gdy minął pierwszy szok zaczęła się panika i histeria. Nie ustawały płacze, krzyki przekleństwa i groźby kierowane do osób leżących obok.

Tego samego dnia wieża kontrolna w Santiago de Chile, gdy tylko straciła kontakt z Fairchildem, natychmiast zaalarmowała o tym służby ratownicze. W okolicy, gdzie prawdopodobnie rozbiła się maszyna, poleciał samolot DC - 6. Niestety nie udało mu się odnaleźć rozbitków. Podobnie następnego dnia, samoloty ratunkowe nie trafiły na żadne ślady. Nic dziwnego, skoro cały czas padał śnieg, przysypujący ślady, a widoczność w głąb wąwozu, gdzie się rozbił samolot była znikoma.

Pierwszego dnia w Andach nie przeżyły trzy osoby. Wiele osób miało odmrożenia. Co najgorsze nie było leków, ani miejsca gdzie byłoby chociaż trochę cieplej. Jedyne medykamenty miał młody rugbista, który zabrał je ze sobą tylko dlatego, że był przewrażliwiony na punkcie własnego zdrowia...W kadłubie i w rozrzuconych bagażach rozbitkowie znaleźli trochę jedzenia:kilka tabliczek czekolady, batonów i karmelki, suszone daktyle, śliwki, krakersy,kilka słoików dżemu butelki wina, whisky, brandy, likier miętowy.

Następnego dnia słychać było warkot silników przelatującego samolotu. Niestety leciał nad chmurami i rozbitkowie nie widzieli go. Kolejnego dnia podobna sytuacja, z tym że

niebo jest bezchmurne. Wszyscy wybiegają z rozbitego kadłuba i machają energicznie rękoma, krzyczą, dają sygnał kawałkami lustra i wypolerowanego metalu. Na próżno... Jednak jeszcze tego samego dnia wieczorem, nad głowami rozbitków przeleciał mały dwupłatowiec, który był na tak niskim pułapie, że dało się zauważyć pilota. Samolot zamachał skrzydłami, jakby dając znać, że zauważył ludzi... I poleciał dalej. Zapanował euforia, nadzieja, że pilot dwupłatowca poinformuje, że znalazł rozbity samolot. Niektórzy jednak studzą optymizm, mówiąc, że to nie jest takie łatwe, gdyż żaden helikopter nie lata na takie wysokości, a samolot nie ma gdzie lądować, więc jeżeli pomoc ma nadejść to tylko lądem, a ekipie ratunkowej odnalezienie rozbitków może zająć dużo czasu...

Minęło pięć dni od katastrofy. Pomoc, której tak mocno spodziewali się sportowcy, ich rodziny i znajomi nie nadchodzi. Postanowili więc sami ruszyć w dół zbocza gór. Błędnie myśleli, że samolot rozbił się w pobliżu miasteczka Curico, więc za przesłaniającymi horyzont szczytami znajdują się zielone doliny chilijskich farmerów. Czterech mężczyzn, którzy byli w najlepszej kondycji wyruszyło w drogę. Najpierw chcieli odnaleźć ogon samolotu, w którym mogły być walizki, cieplejsza odzież i być może żywność. Śmiałkowie przekonali się jednak, jak bezlitosne są góry. Śnieżyca i mróz wycięczyły mężczyzn już po dwóch godzinach. Gdy wrócili do obozu z niczym, padnięci i zgłodniaли, wszystkich ogarnęła apatia.

10 dzień od katastrofy. Przy życiu zostało 27 osób. Ludzie są tak słabi, że ledwo chodzą o własnych siłach. Wprawdzie pogoda złagodniała i świeci słońce, jednak mróz jest nieubłagany. Kończy się żywność, której i tak było niewiele. Dzienna porcja to: nakrętka wina, kawałek czekolady, łyżeczka dżemu lub mały. Konsumując wszyscy utrzymują pokarm jak najdłużej w ustach... Są świadomi, że najbliższe dni bez pokarmu będą powolną agonią.

Wtedy pojawia się myśl o ciałach ofiar...

Kanibalizm

Do czego jest zdolny człowiek pokazali rozbitkowie, którzy przeżyli te 10 dni. Wokół samolotu leżały porzucane ciała, zakonserwowane przez mróz w takiej pozycji, w jakiej zastała ich śmierć. Najpierw pojawiła się u poszczególnych osób myśl o zjedzeniu ludzkiego mięsa, początkowo nieśmiała, lecz z upływem godzin coraz bardziej natarczywa. Wreszcie jeden z mężczyzn, głośno powiedział to co myślała większość, ale bała się powiedzieć: „Nie możemy liczyć na pomoc innych. Musimy się ratować na własną rękę. Nic nie zrobimy bez jedzenia, a jedynym źródłem pokarmu są ludzkie ciała”. Pojawia się jednak problem przekonań religijnych, gdyż wszyscy rozbitkowie byli praktykującymi katolikami. Postanawiają podjąć decyzję po naradzie, która odbyła się w kadłubie samolotu. Większość rozbitków mówi, że w razie ich śmierci, chcą by ich ciała

posłużyły jako pokarm. Jednak sami muszą pokonać barierę psychiczną, by zmusić się do spróbowania ludzkiego mięsa. Dyskusja trwa cały dzień, pod wieczór kilka osób mówi głośno, że jeżeli nie zrobią tego teraz to nie zrobią tego nigdy. Wszyscy milczą...W pewnym momencie podnoszą się czterej mężczyźni, wychodzą z wraku. Za nimi podąża kilka osób mniej zdecydowanych, ale głód i chęć przetrwania zaczyna przełamywać wątpliwości.

Na dworze wszystkie ciała są pokryte warstwą śniegu. Mężczyźni rozglądają się niepewnie dookoła. Nagle jeden z nich rusza kilka kroków do przodu i niespodziewanie opada na klęczki...Przed nim ze śniegu wystają pokryte śniegiem pośladki którejś z ofiar. Mężczyzna obnaża skórę i kawałkiem rozbitego szkła wycina kawałek mięsa. Następnie podnosi się i kładzie ten kawałek na kadłubie samolotu. Tym czynnościom towarzyszy grobowa cisza. Po chwili wchodzi do kadłuba i mówi, że wykroił część mięsa, która teraz schnie na kadłubie rozbitego samolotu. Nikt nie reaguje, więc mężczyzna wraca i bierze do ręki ludzkie mięso. Modląc się do Boga o pomoc, wkłada mięso do ust i przełyka...

Gdy zapada noc, kilka osób wymyka się z samolotu i idą śladem, mężczyzny, który poznał już smak ludzkiego mięsa. Jednak na następny dzień rozbitkowie budzą się i pierwszą myślą jest to co wczoraj uczynili. Wywołuje to w nich przerażenie i odrazę. Kolejne dni te odczucia jednak zdają się coraz bardziej oddalać. Ludzie lepiej się organizują i kanibalizm przybiera zorganizowaną formę. Podzieleni na małe grupy rozbitkowie topią śnieg, wykrawają mięso z trupów.

Początek listopada. Przy życiu zostało już tylko 18 osób. Było to efektem nie tylko ekstremalnych warunków, ale także lawiny, która zasypała samolot. Ci, którzy przeżyli, stwierdzili, że koniecznie, trzeba wysłać kilkoro spośród nich, którzy ruszą w poszukiwaniu pomocy. Musiały być to osoby, które była w najlepszej kondycji fizycznej. Ostatecznie wybrano czterech mężczyzn, którzy wyruszyli i ...wrócili po trzech godzinach. Powodem był śnieg, który tak gęsto zaczął sypać, że niepodobna było się nie zgubić.

Tak wyglądało, życie rozbitków przez cały listopad i w pierwszej połowie grudnia. Prawdopodobnie 11 grudnia nieszczęśnicy jeszcze raz podejmują próbę przedarcia się przez góry i sprowadzenia pomocy. Mała grupka wyrusza na zachód. Zaopatrzeni w resztki mięsa wędrują przez sześć dni szczytami Andów. Nadludzkim wysiłkiem ostatniego dnia dochodzą do podnóża góry. Po lodowcu docierają do doliny, gdzie po raz pierwszy od dwóch miesięcy widzą zieleń i ptaki...

Zostali odnalezieni przez pastuchów. Koszmar się skończył. Do pozostałych pasażerów pomoc dotarła po dwóch dniach. W sumie z 40 osób, które wystartowały 12 października

na pokładzie Fairchilda, przeżyło 16. Ich gehenna trwała 71 dni.